

Aldona Żółtowska

HALSZKA

ŚLADY NIEOBECNOŚCI

*Pamiętnik sprzed lat i zagadka,
która nie daje o sobie zapomnieć*

TOM 2



Aldona Żółtowska

HALSZKA

ŚLADY NIEOBECNOŚCI

TOM 2



Copyright © 2025 by Aldona Żółtowska

Copyright for this edition © 2025 by Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

REDAKCJA: Agnieszka Sabak

KOREKTA: Anna Piechota

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Iza Surdykowska

ZDJĘCIE AUTORKI: Archiwum prywatne Autorki

SKŁAD: Positive Studio

WYDANIE I

ISBN PRINT: 978-83-8412-404-8

EAN: 9788384124048

ISBN E-BOOK: 978-83-8412-405-5

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

Niniejsza powieść stanowi wytwór wyobraźni, a wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych, wydarzeń i miejsc jest całkowicie przypadkowe.



Na zlecenie Woblink



woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Błaszczyk

Spis treści

CZĘŚĆ I

1949 Bartosz

CZĘŚĆ I

1949 Bartosz

Nieustannie przypominałem Eugenii i Rozalce, aby nie wpuszczały do mnie nikogo przypadkowego. Przez ostatnie lata drzwi mojego gabinetu właściwie się nie zamykały – co chwilę zaglądał ktoś z Turewa z prośbą, potrzebą, żądaniem. A ja, bezradny, mogłem tylko rozkładać ręce i po raz setny tłumaczyć, że nie mamy farb, gwoździ, maki, papieru – niczego, czego obywatel potrzebuje. Bo te niemieckie szumowiny, uciekając przed Armią Czerwoną, zgarnęły wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Ot, stąd nasze przejściowe problemy z zaopatrzeniem. Ale spokojnie, towarzysze – mówiłem – socjalistyczna ojczyzna prędzej czy później zatroszczy się o każdego. Praca będzie, dach nad głową będzie, wszystko się znajdzie.

Tym razem moje sekretarki rzeczywiście potraktowały polecenie poważnie. Uparcie nie wpuszczały do mnie młodego mężczyzny, który od kilku dni krążył po korytarzu. W końcu przy którymś spojrzeniu coś mnie tknęło. Ta twarz... była mi znajoma. Zerknąłem raz jeszcze – i nagle przypomniałem sobie: Maksymilian Werecki, nauczyciel z Wiktorowa. Widziałem go podczas czynu społecznego, gdy malował z innymi szkolne klasy. Nie zamieniliśmy wtedy ani słowa.

Nie jestem znawcą męskiej urody, ale nie mogłem nie zauważyć, że Werecki się wyróżniał. Wysoki, wyprostowany, z twarzą, która przyciągała uwagę, choć trudno ją było nazwać klasycznie przystojną. Było w niej jednak coś, co zapadało w pamięć.

– Znam was – powiedziałem, patrząc mu prosto w oczy. – Jesteście nauczycielem w Wiktorowie.

Po chwili namysłu postanowiłem wywieść się, z czym do mnie przyszedł.

Mężczyzna milczał, najwyraźniej zbierając myśli i przygotowując się do rozmowy. Jego spojrzenie było pozornie spokojne, niemal obojętne, jednak kryło w sobie jakieś napięcie. Patrzył na mnie tak, jakby oczekiwał, że sam odgadnę powód jego wizyty, zanim jeszcze wypowie choć słowo.

– Przyszedłem porozmawiać o Halszce Antoniewicz.

– Zapraszam – powiedziałem, wskazując otwarte drzwi.

Kiedy położył przede mną zdjęcie, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Stara, wyblakła fotografia przedstawiała mnie samego na tle pałacu w Chalinie. Patrzyłem z niedowierzaniem na siebie sprzed lat. Byłem znacznie młodszy niż teraz. Miałem wrażenie, że czas się cofnął. Przeszłość, którą przez lata próbowałem zepchnąć na dno pamięci, teraz wróciła do mnie z całą swoją mocą, jak fala, która niespodziewanie zalewa brzeg. Wspomnienia, tak starannie tłumione, teraz powracały świeże, jakby wszystko wydarzyło się wczoraj, a to, co dawno minęło, wciąż miało nade mną władzę.

Spojrzałem na zdjęcie, a potem na Wereckiego. Jego twarz pozostawała spokojna, niemal kamienna, ale w spojrzeniu kryło się coś nieprzeniknionego, co sprawiało, że poczułem się jak w pułapce. Nie wiedziałem, czego ode mnie oczekuje, co chce usłyszeć.

Milczenie się przeciągało. W końcu zebrałem się na odwagę i przerwałem ciszę, choć mój głos brzmiał dziwnie obco, jakby należał do kogoś innego:

– Skąd pan to ma?

– Halszka utopiła się w rzece...

Spojrzałem na niego, a w mojej głowie wszystko zaczęło się układać w całość. Nauczyciel jakimś sposobem zdobył jej rzeczy. I znalazł wśród nich moje zdjęcie. Teraz zrozumiałem, skąd je ma i dlaczego przyszedł właśnie do mnie. Poczułem, jak przeszłość wdziera się do mojego życia na nowo, choć nigdy naprawdę nie odeszła. Wszystko, co przez lata próbowałem pogrzebać głęboko w sobie, teraz znów mnie osaczało, nie dając szansy na ucieczkę. Byłem w tym samym miejscu, które opuściłem dawno temu, a które, jak się okazało, trwało niezmienione.

Wbiłem wzrok w papiery leżące na biurku, licząc naiwnie, że ich treść odwróci moją uwagę od całej tej sytuacji, dając odrobinę wytchnienia. Ale nie potrafiłem się skupić na żadnym z dokumentów. Moje myśli dryfowały gdzieś daleko, poza ten pokój i czas. Wszystko, co było tu i teraz, rozmywało się, a ja czułem, jak powoli wciąga mnie wir wspomnień, od których tak długo próbowałem uciec.

Postanowiłem zapalić. Myśl o papierosie była jak obietnica ulgi i krótkiej ucieczki, której tak rozpaczliwie potrzebowałem. Palce mi zadrżały, gdy sięgnąłem do szuflady biurka po paczkę. Ale zanim zdążyłem wyjąć papierosa, usłyszałem głos Wereckiego.

– Był pan dla niej kimś ważnym – powiedział.

To nie było pytanie. To było stwierdzenie. Poczułem, jak krew uderza mi do głowy.

– Myli się pan – odparłem sucho, nie podnosząc wzroku znad papierów.

Moje słowa były bezbarwne, jakby wypowiedział je ktoś inny. Wiedziałem, że cokolwiek teraz powiem, nie będzie miało żadnego znaczenia. On i tak mi nie uwierzy. Widziałem to w jego oczach,

w tym uporze i determinacji, która mówiła, że nie odpuści, dopóki nie dowie się czegoś na temat tej dziewczyny. Ale nie zamierzałem mu niczego ułatwiać i otwierać przed nim drzwi, które tak starannie kiedyś zamknąłem.

– Znalazłem pana zdjęcie w jej rzeczach – powiedział z naciskiem.

Głos Wereckiego był spokojny, ale w tych słowach kryła się siła, która kazała mi przestać udawać, że papiery na biurku są ważniejsze od niego.

– Zatem musiało was coś łączyć – dodał po chwili.

Zmrużyłem oczy. Zacisnąłem palce na krawędzi biurka, próbując uchwycić się czegokolwiek, co mogłoby mi dać oparcie. Chciałem, żeby to wszystko się skończyło. Żeby ten chłopak wyszedł i już nigdy tu nie wracał.

– Znalazł pan tylko moje zdjęcie – przyjąłem postawę obronną, starając się, by mój głos brzmiał spokojnie, choć czułem, że wszystko we mnie wrze. – To jeszcze nie znaczy, że łączyła nas jakaś historia.

Mężczyzna siedział nieruchomo, wpatrując się we mnie tak intensywnie. Miałem wrażenie, że jego wzrok przenika mnie na wskroś. Śledził każdy mój ruch i najdrobniejszy grymas, szukając w nich śladów prawdy, której nie chciałem ujawnić. To, że nie wierzył w moje słowa, sprawiało, że czułem narastający gniew.

– Musiało was coś łączyć – powtórzył z uporem. – Inaczej nie znalazłbym pana fotografii w jej rzeczach. A skoro znalazłem, to znaczy, że było, jak mówię.

Jego słowa odbiły się echem w mojej głowie. Miałem ochotę zakończyć to wszystko jednym ostrym zdaniem, ale ono ugrzęzło mi w gardle.

– Proszę się w tym nie doszukiwać drugiego dna – powiedziałem w końcu stanowczo i twardo. – Dałem tę fotografię obywatelce Antoniewicz, aby przekazała ją naszej wspólnej znajomej. Nie ma w tym żadnej tajemnicy.

Wyjąłem z paczki dwa papierosy. Drugi na zapas, bo wiedziałem, że zaraz będę go potrzebował. Przyłożyłem papierosa do ust i poczułem nikłe ciepło przenikające moje palce, małą, ulotną iskierkę ukojenia. Dłoń wciąż mi lekko drżała, ale poza tym niczym nie zdradziłem, co naprawdę czuję. Za wszelką cenę chciałem pokazać spokój, chłód i opanowanie, choć w środku byłem jak rozgrzany wulkan, gotowy do wybuchu. Cała ta sytuacja, przeszywające spojrzenie tego młodego mężczyzny i jego nieustępliwość, zdawały się coraz bardziej mnie przytłaczać. I choć desperacko próbowałem zachować zimną krew, czułem, że balansuję na krawędzi.

Wstałem od biurka i podeszedłem do okna. Spojrzałem na rynek. Ludzie mijali się obojętnie, pochłonięci własnymi sprawami. Tamten świat wydał mi się nagle czymś zupełnie nieistotnym. Zaciągnąłem się głęboko. Ale papieros nie mógł mnie uratować. Nie tym razem. Rozpaczliwie zapragnąłem wyjść z pokoju. Za moimi plecami siedział Werecki. Czułem jego ciężkie, nieustępliwe, wyczekujące spojrzenie. Wiedziałem, że uporczywie żąda odpowiedzi.

– To nie mnie pan szuka – rzuciłem, nie odrywając wzroku od okna. – Mnie i obywatelki Halszki Antoniewicz nie łączyła żadna historia – dodałem cierpko.

Odwróciłem się powoli i wróciłem do biurka. Spojrzałem na nauczyciela. Widziałem w nim siebie sprzed lat, kiedy sam szukałem odpowiedzi tam, gdzie ich nie było.

– Przykro mi – wymamrotałem, choć te słowa były jedynie pustą próbą zakończenia tej rozmowy. – Znałem tę dziewczynę zaledwie przelotnie. Owszem, dałem jej swoją fotografię, żeby przekazała ją naszej wspólnej znajomej. Ale to wszystko.

Werecki nie wyglądał na przekonanego. Wpatrywał się we mnie intensywnie, wciąż próbując odnaleźć w moich oczach coś, co zaprzeczyłoby tym słowom.

– Wspólna znajoma... – powtórzył cicho, jakby te dwa słowa kryły w sobie coś, czego nie potrafił zrozumieć.

Sięgnąłem po papierosa i zapaliłem kolejnego, choć poprzedni wciąż tlił się w popielniczce. To był gest mechaniczny, pozbawiony głębszego sensu, ale dawał mi coś, czego teraz desperacko potrzebowałem, chwilę, by zebrać myśli i odgrodzić się od dusznej atmosfery, która wypełniała pokój.

– Niech pan już idzie – poprosiłem cicho.

Werecki spojrzał na mnie, a jego wzrok wydawał się przytomniejszy, jakby porzucił myśli o przeszłości. Jego spojrzenie, choć wciąż kryło w sobie jakąś nieuchwytną myśl, straciło tę palącą determinację, która towarzyszyła mu, gdy przekroczył próg mojego gabinetu. Było w nim coś łagodniejszego. Wydawało się, że pogodził się z faktem, iż nie znajdzie u mnie tego, czego szuka.

– W porządku – mruknął.

Odetchnąłem z ulgą. Wreszcie poczułem, jak napięcie, które zdawało się wypełniać każdy zakamarek tego pokoju, zaczyna ustępować.

– Proszę nie wymagać ode mnie dłuższych opowieści i uwierzyć mi na słowo. Nie łączyło nas nic poza krótkotrwałą znajomością.

Kiwnął głową, dając mi do zrozumienia, że przyjmuje moje wyjaśnienie. Ale w tym geście było coś, co zdradzało, że wciąż jest pełen wątpliwości. Wiedziałem, że nie uwierzył do końca, ale najwyraźniej postanowił nie drążyć tematu. Sekunda po sekundzie śledziłem, jak jego dłonie zaciskają się na krawędzi fotela, a wzrok niepewnie błądzi po blacie biurka, aż w końcu zatrzymuje się na fotografii.

Moje serce przyspieszyło, choć starałem się tego nie zdradzać. To była chwila, w której wszystko mogło się rozstrzygnąć. Czy zabierze ze sobą zdjęcie? Bardzo nie chciałem wracać do przeszłości, ale ona sama mogła przyplłynąć do mnie wielką falą za sprawą tej jednej fotografii.

Nauczyciel powoli podniósł się z krzesła.

– Do widzenia, panie Gertner – rzucił sztucznie, jakby sam nie wierzył, że kiedyś ponownie się spotkamy. I być może miał rację. Sam nie sądziłem, że nasze drogi jeszcze się skrzyżują.

Patrzyłem, jak powoli się odwraca i rusza w stronę drzwi. Było pewne, że nie zabierze ze sobą zdjęcia. Zostawił je na moim biurku jak niemego świadka tamtego życia, które dawno zniknęło, pogrzebane pod ciężarem czasu. Gdy drzwi zamknęły się za nim, poczułem ulgę. Rozmowa dobiegła końca. Powietrze w pokoju stało się lżejsze, a ja mogłem wreszcie odetchnąć. Uspokoilem oddech i rozluźniłem się.

Spojrzałem jeszcze raz na fotografię. Leżała nieruchoma, zwyczajna, ale dla mnie była symbolem wszystkiego, co chciałem zostawić za sobą. Wróciłem do okna i spojrzałem na rynek. Ale nie znalazłem spokoju w znanym mi tak dobrze obrazie. Gorączkowo sięgnąłem po zdjęcie. Wydawało się niemal parzyć moje palce.

Złożyłem je wpół, szybko, niemal brutalnie, jakbym się bał, że wyleci mi z rąk. Schowałem je do kieszeni, łudząc się, że zniknie na zawsze również z mojej świadomości. Wiedziałem, że to jeszcze nie koniec. Przeszłość, choć na chwilę odepchnięta, wciąż czaiła się gdzieś w pobliżu, gotowa wrócić w najmniej oczekiwanym momencie.

Nie zamierzałem się nad tym zastanawiać. Nie teraz.

Wyszedłem z gabinetu szybkim krokiem, rzucając w stronę Eugenii, że dzisiaj już nie wrócę. Nie czekałem na jej reakcję. Pragnąłem uciec i zostawić za sobą cały ten dzień. Kiedy w końcu przekroczyłem próg mieszkania, zamknąłem drzwi z takim impetem, jakby miało mnie to odgrodzić od całego świata. Nalałem sobie kieliszek wódki. Nie przeszkadzało mi, że piję sam. W naszych czasach samotne picie było czymś powszechnym, niemal naturalnym. To był sposób na uciszenie myśli, które nie dawały spokoju, na zagłuszenie tego wewnętrznego szumu, który podnosił się w chwilach samotności. Sięgnąłem po następny kieliszek, potem po kolejny. Wódka płynęła przez moje gardło, rozgrzewając wnętrze. To było najłatwiejsze – pozwolić, by alkohol otulił mnie mgłą zapomnienia.

W tej przestrzeni, w której piłem, istniałem tylko ja. To była moja klatka, którą sam sobie zbudowałem. Chłód szkła przypominał mi o rzeczywistości, kontrastując z ciepłem alkoholu, który powoli zaczynał działać, rozluźniając napięcie w moim ciele.

I właśnie wtedy, w tej pozornie zwyczajnej chwili, bez ostrzeżenia przyszła do mnie nagle ta myśl: a więc Halszka nie żyje.

Nie było w tym nic dramatycznego, nic zaskakującego. Każdego roku docierały do mnie wieści o odejściu kogoś z kręgu ludzi, których znałem w dawnych czasach. Wojna zabrała ich wielu. Jedni zginęli od bomb na ulicach, drudzy w okopach, jeszcze inni w obozach. To były

śmierci głośne, brutalne, pozbawione majestatu i jakiegokolwiek sensu. Ci, którzy mieli więcej szczęścia, umierali później, w ciszy swoich domów, we własnych łóżkach, otoczeni bliskimi.

Ale Halszka? Jej śmierć była inna. Choć przyszła nagle, nie była wynikiem wojny. Zatem sama wybrała własny koniec, rzucając się w wir rzeki. To była jej decyzja, jej ostatni akt woli, który światu był obojętny, ale dla niej samej ostateczny.

Każda taka śmierć, każde odejście kogoś, kogo znałem w przeszłości, było poprzedzone długim okresem niewidzenia. Łatwiej było mi przyjąć śmierć kogoś, kto już dawno przestał być częścią mojego życia. Może dlatego odejście Halszki nie było dla mnie ciosem. Nie widziałem jej od kilku lat, a wspomnienie o niej było jak wyblakłe zdjęcie, które czas pozbawił ostrości. A jednak coś mnie w tej wiadomości o jej śmierci poruszyło, wywołując dziwną, trudną do zdefiniowania tęsknotę. Od Halszki wszystko się zaczęło. To ona przyprowadziła Niutę do naszego domu. Pamiętałem to tak wyraźnie, jakby wydarzyło się wczoraj.

Ojciec Anny, Samuel Metz, był przed wojną sklepikarzem w Turewie, choć wyglądał bardziej na uczonego niż kupca. Mówiono o nim, że nie jest człowiekiem stworzonym do handlu, lecz do kontemplacji. W końcu sklep Samuela podupadł, stając się ofiarą pasji jego właściciela do studiowania Talmudu, który pochłaniał go bardziej niż jakiekolwiek rachunki czy interesy.

Rodzina Anny miała swoje korzenie w Rosji. Dziadek Hesiek, człowiek o surowym spojrzeniu, lecz ciepłym sercu, nazywał swoją wnuczkę zdrobniale z rosyjska Aniutą. Z czasem to imię przekształciło się w Niutę, imię krótsze, bardziej intymne i zarezerwowane tylko dla najbliższych.

Tamtego dnia przysłała do mnie Halszka.

– Panie doktorze, proszę ją ukryć, jest pan poza wszelkim podejrzeniem. Nikt nie będzie u pana szukać Żydówki – przekonywała.

Ostatnie słowo wypowiedziała wyraźnie speszona, zerkając ukradkiem na młodą kobietę, którą przyprowadziła. Nieznajoma nie miała semickiej urody. Jej puszyste jasnobrązowe włosy i niebieskie oczy mogłyby zmylić każdego. Ale to nie miało znaczenia. Była Żydówką. W tamtych czasach tylko to wystarczało, by z człowieka stać się ściganym zwierzęciem.

Miałem ochotę powiedzieć Halszce, że nie będę ryzykować własnym życiem. Ale zanim zdążyłem otworzyć usta, nie wiedzieć czemu poczułem, że jest mi wszystko jedno. Obie kobiety patrzyły na mnie wyczekująco.

– Dobrze – powiedziałem po chwili.

Halszka skinęła głową, jakby się spodziewała takiej odpowiedzi, a potem wyszła, zostawiając mnie sam na sam z drugą kobietą.

Milcząca do tej pory i nieruchoma Niuta położyła na stole niewielki brylant.

– Nie trzeba – rzuciłem zdawkowo.

– Trzeba – odpowiedziała ostro.

Spojrzała na mnie z takim żarem, że przez chwilę nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Co pan sobie wyobraża? – zapytała, a w jej oczach pojawił się gniew. – Mam jeść pana chleb i spać w pańskiej piwnicy całkiem za darmo?

Zrozumiałem, że to nie jest tylko kwestia zapłaty. Nie chodzi o ten brylant, który rzuciła na stół. To jest kwestia godności. Nie chciała być na mojej łasce.

– Coś panu wytłumaczę – zaczęła. – Gdy zdarzyło mi się dawniej, że zjadłam w kawiarni deser, zawsze płaciłam za tę przyjemność – wycodziła przez zęby. – Nie chcę tu siedzieć i czekać, aż pewnego dnia zdradzi pan jakimś gestem, miną, czymkolwiek, że żałuje ukrywania mnie tutaj. To jest uczciwa zapłata – zakończyła gorzko, spoglądając na brylant.

Za co zapłata? – pomyślałem.

Za dobroć, której wcale w sobie nie miałem. Za kryjówkę w domu, który nawet nie należał do mnie, bo wciąż był własnością mojego schorowanego ojca. Za życie, które ktoś inny postanowił wycenić, jakby to był przedmiot.

Tamtego wieczoru nie poruszałem więcej tematu kosztowności. Wziąłem brylant do ręki i wsunąłem go do kieszeni, choć czułem, że ten gest był bardziej kapitulacją niż zgodą. Mijały tygodnie, a ja przyzwyczaiłem się do cichej obecności Niuty.

Po kilku miesiącach mój ojciec zmarł. Na pogrzebie zebrało się wielu mieszkańców Wiktorowa, których leczył. Przed wojną był jedynym lekarzem w okolicy. Przyjechał do Chalina ze wschodu, w ślad za swoją pacjentką Joanną Wilczyńską. Bolszewicy, zanim dotarli pod Warszawę, spalili dwór jej rodziców, a z całej rodziny ocaleli jedynie stary lokaj i młoda dziedziczka. To właśnie oddany służący zadbał o to, aby wieść o tragedii dotarła do dalszych krewnych młodej Wilczyńskiej. Joanna, złamana psychicznie utratą najbliższych, znalazła schronienie pod dachem swojej dalekiej kuzynki, Konstancji Trelewicz, żony właściciela majątku Chalin.

Ojciec przedwcześnie owdowiał. Kuracja Wilczyńskiej była znakomitym pretekstem, by uciec od rodziny zmarłej żony, która chciała przejąć nade mną opiekę. Ojciec zabrał mnie ze sobą i osiadł w Chalinie, gdzie szybko stał się lekarzem mieszkańców wszystkich okolicznych wsi. I tak sprowadziła nas w te strony chęć niesienia pomocy Joannie.

Kiedy pochowano ojca, poczułem, że zostałem sam. Prawie sam. Towarzyszyła mi ukryta w piwnicy Niuta. Jej obecność była dla mnie jednocześnie ciężarem i dziwnym pocieszeniem. Zacząłem z nią spędzać więcej czasu.

Anna Metz nie próbowała mi się przypodobać ani udawać wdzięczności. Była po prostu sobą. Surowa, bezpośrednia, czasem nieprzyjemna, ale prawdziwa. Jej cięty język i gwałtowny temperament szybko zaczęły mnie fascynować, choć czasem raniła do żywego. Zawsze mówiła to, co myśli. Nie bała się mnie ani tego, że wydam ją Niemcom. Wiedziała, że tego nie zrobię. W przeciwnym wypadku zabiliby nas oboje, a potem spalili dom.

Z czasem między mną a Niutą nawiązała się więź. Spieraliśmy się o drobiazgi, ale w tych kłótniach było coś żywego, co przypominało, że wciąż jesteśmy młodzi. Nie znaliśmy wtedy pojęcia końca wojny. Nie potrafiliśmy sobie wyobrazić, że Niemcy mogliby ją przegrać. Byliśmy jak chorzy, którzy stracili wiarę w możliwość wyzdrowienia. Ale mimo wszystko na coś czekaliśmy. Może na cud, na zmianę, której nie potrafiliśmy nawet nazwać.

Pewnego dnia Niuta zniknęła. Jej kryjówka była pusta.

Najpierw ogarnął mnie strach. Pomyślałem, że ktoś ją wydał. Czekałem, aż do moich drzwi zapukają Niemcy. Każdy dźwięk, każde skrzypnięcie podłogi wydawało się zapowiedzią najgorszego.

Z czasem lęk ustąpił miejsca innemu uczuciu i pytaniu, które nie dawało mi spokoju: dlaczego odeszła?

Przez jakiś czas naiwnie wierzyłem, że Niuta wróci. Może musiała załatwić coś ważnego i pewnego dnia pojawi się z wyjaśnieniem, które rozwieje moje wątpliwości. Zajrzałem w każdy kąt domu, szukając jakiegokolwiek wiadomości, którą mogła mi zostawić. Łudziłem się, że znajdę choćby skrawek papieru ze słowami „niedługo wrócę”. Ale nie.

Rozpytywanie ludzi nie wchodziło w grę. Najmniejsza wzmianka o Niucie mogłaby dotrzeć do Gestapo, a wtedy wszystko byłoby stracone. Zostałem sam z pytaniami, na które nie było odpowiedzi, i z brylantem, który nagle wydał mi się zapłatą nie za jej życie, ale za moją stratę. Nie zdążyłem zwrócić go Niucie.

Ojciec już nie żył i nic mnie nie trzymało w Chalinie, więc przenieśliśmy się do Turewa i rzuciłem się w wir pracy. Leczyłem ludzi niemal za darmo. Każdego, kto potrzebował pomocy. Bywało, że wzywali mnie na wizyty Niemcy, a ja szedłem, bo tylko dzięki pracy udawało mi się przetrwać. Kiedy Niemcy uciekali w popłochu z miasteczka, odnalazła mnie Halszka. Słabo ją znałem, nigdy mi się nie zwierzała, lecz dostrzegłem, że jest milcząca, nieobecna. Niepokój malujący się na jej twarzy zdradzał, że coś ją dręczy.

Poprosiłem ją, by przekazała Niucie moją fotografię, jeśli ją spotka. Zdjęcie to miało dla mnie szczególne znaczenie. Wykonał je ojciec swoim pierwszym aparatem fotograficznym. Przedstawiało mnie na tle pałacu w Chalinie. Wróciłem wówczas z Warszawy świeżo po studiach medycznych. Byłem pewny, że czeka mnie spokojne życie na prowincji.

– Jak to? Niuty nie ma u pana doktora? – Halszka nie kryła zdziwienia.

Przez chwilę miałem ochotę powiedzieć jej o wszystkim i wyznać moje uczucie, ale kiedy napotkałem nieobecne spojrzenie Halszki, zrozumiałem, że jest uwikłana w jakąś własną historię i moje sprawy są dla niej bez większego znaczenia.

– Opuściła swoją kryjówkę. Nie mam pojęcia, gdzie może być – uciałem krótko, unikając zbędnych wyjaśnień.

Kiwnęła głową, jakby przyjęła to do wiadomości, choć widziałem, że coś w jej twarzy drgnęło. Wyjęła dwa bruliony, które przyniosła ze sobą, i podała mi je.

– Jeden zeszyt jest niezapisany – zauważyłem, przyglądając im się pobieżnie.

– A tak – odparła, po czym wzięła ten niezapisany z powrotem i wsunęła do środka moją fotografię. – Zabiorę to ze sobą – dodała.

– Może zacznie pani pisać dziennik i zapełni papier własnymi przemyśleniami – rzuciłem, próbując nadać rozmowie choć odrobinę lekkości.

Obdarzyła mnie chmurnym spojrzeniem, które zdawało się mówić więcej niż jakiegokolwiek słowa.

– Nie sądzę – odpowiedziała po chwili tak cicho, że miałem wrażenie, jakby mówiła bardziej do siebie niż do mnie.

Po chwili wyszła, zabierając moją fotografię wsuniętą między kartki pustego zeszytu.

Ten zapisany pozostał u mnie. Był to dziennik. Chciała, abym przechował go dla niej.

Upilem spory łyk wódki. Jej gorzki smak osiadł mi na ustach. Alkohol palił gardło niczym rozżarzony węgiel, który zsuwał się w dół przełyku, by rozgrzać żołądek. Czułem, jak ciepło rozlewa się po moim ciele, próbując wypalić ostatnie resztki chłodu, który przez wszystkie te lata osiadał gdzieś głęboko we mnie.

Nie miałem pojęcia, dlaczego Maksymilian Werecki przyszedł właśnie do mnie. A jednak, kiedy wspomniał o Halszce, coś we mnie pękło. Patrzyłem na niego i czułem coś na kształt żalu. Żal mi było mojej młodości i tej naiwnej wiary, że Niuta kiedyś wróci.

Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

CZEŚĆ I

1949 Bartosz